

# Instytut Zachodni we wspomnieniach

## ROZMOWA Z PROFESOREM GERARDEM LABUDĄ

W ramach Biblioteki Przeglądu Zachodniego w 2007 r. ukazała się publikacja *Instytut Zachodni w dokumentach*. Postanowiliśmy wówczas zwrócić się z prośbą o nadsyłanie wspomnień z kontaktów z IZ, pozostawiając całkowitą dowolność w doborze treści i formy wypowiedzi. Obecnie publikujemy fragmenty rozmowy przeprowadzonej z prof. dr. hab. Gerardem Labudą, wybitnym historykiem, znakomitym znawcą historii Polski i Pomorza, dyrektorem Instytutu Zachodniego w latach 1958-1960.

(...) W 1945 r. profesor Zygmunt Wojciechowski – jak wszyscy wiemy główny organizator Instytutu Zachodniego – poprosił o złożenie podpisów na wniosku do Sądu dotyczącym rejestracji Instytutu Zachodniego. Byłem na pierwszej liście, podpisałem się jako jeden z założycieli. Ale Sąd odrzucił pierwszą wersję tego wniosku i trzeba było zrobić drugi. Mnie już nie było i wobec tego nie jestem wymieniony wśród założycieli. Bardzo tego żałuję, ciągle mam kompleks. Ja przecież byłem przy początkach, prapoczątkach, bym powiedział, a przypadek mnie wyeliminował. Ale to jest drobiazg. Jest rzeczą oczywistą, że Instytut Zachodni właśnie w tej pierwszej fazie, w latach 1945-1956, stał osobowością Zygmunta Wojciechowskiego. Byliśmy młodszy, byliśmy trochę zdezorientowani tym, co się stało z Polską, rozmaite wydarzenia: nowe władze, nowy ustrój, nowa ideologia, nowe naciski. Było troszeczkę zamieszania. I wobec tego inicjatywa Zygmunta Wojciechowskiego stworzenia Instytutu Zachodniego miała dla nas znaczenie integracyjne. Wiedzieliśmy, czego się mamy teraz trzymać. Znaczy, że jest gdzieś jakaś przystań czy poręcz, której się trzymając będziemy włączeni w prąd życia naukowego. Było początkowo jasne, że chodzi o umocowanie stanowiska Polski na granicy zachodniej. Ideologia zachodnia – było zupełnie oczywiste dla nas wszystkich, dla nas – powiedziałbym – pionierów myśli zachodniej, że Instytut Zachodni dał nam środowisko, stworzył warunki pracy, do działania. Oczywiście byli jedni bliżsi pracownicy i dalsi pracownicy. Na pierwszym miejscu – obok Zygmunta Wojciechowskiego – wymienię Michała Pollaka. To była ostoja Instytutu Zachodniego, jakby to powiedzieć, administracyjna. Zygmunt Wojciechowski był stworzony do wielkich rzeczy: koncepcji, pomysłów, projektów. Ale on nie miał w sobie zmysłu administracyjno-organizacyjnego. Jego to nudziło, po prostu. On był stworzony do wielkich rzeczy, do tego się nadawał i robił to świetnie. Jak to jego uczniowie określili – on rzucał myśli i właśnie takie było jego powiedzenie: „Ja rzucam myśli, wy to łapcie”.

Tej pierwszej fazie Instytutu Zachodniego towarzyszyłem z drugiej ławki. Byłem wtedy profesorem na Uniwersytecie i od 1953 r. miałem Zakład Historii Pomorza. Tak, to była domena mojej

pracy. Przez całe życie kierowałem Zakładem Historii Pomorza Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk. Jest rzeczą oczywistą, że te dwie placówki ze sobą współdziałały, to znaczy moja cała działalność naukowa w Instytucie Historii w Zakładzie Historii Pomorza była podporą naukową dla Instytutu Zachodniego, dlatego że Instytut Zachodni w swojej pierwszej fazie nie miał stałych etatowych pracowników. To było pospolite ruszenie profesorów Uniwersytetu, całego środowiska. Organizował to wszystko Zygmunt Wojciechowski, ale działał właśnie takim pospolitym ruszeniem.

(...) Z Michałem Pollakiem miałem bardzo ciekawą przygodę. Mianowicie napisałem na maturze wypracowanie na 19 stron i moi profesorowie z gimnazjum stwierdzili, że trzeba mnie posłać na studia. Był taki wizytator pan Augustyński z Gdańska, który zdecydował, że skierowano mnie do Poznania, i właśnie do Michała Pollaka, który był wtedy kuratorem. On protegował mnie u dziekana Chodynieckiego, że przychodzi taki młody człowiek, którego trzeba przyjąć na studia. Więc jak się zgłosiłem do dziekanatu, to profesor, dziekan już wiedział, że jest taki Labuda. Wtedy nie było problemu takiego jak egzamin wstępny. Dziekan decydował. Przeprowadzał rozmowę i na podstawie tej osobistej rozmowy wpisywał na listę studentów

Ja niezwykle ceniłem Michała Pollaka. To był człowiek nieprawdopodobnej przyzwoitości, uczciwości, rzetelności, odpowiedzialności za instytucję. To był człowiek, który nie wahał się wykonywać dla Instytutu Zachodniego wszystkich prac najbardziej takich przyziemnych. Sekundowała mu pani Halina Całkowska – sekretarka. To była niezwykła sekretarka. Ona wszystko rejestrowała, odbierała wszystkie telefony, prowadziła wszystkie notatki. Niesłychanie sumiennie, wszystko zapisywała, tak że dyrektor Pollak był dokładnie informowany o tym, co dzieje się na zapleczu organizacyjnym.

(...) Od samego początku był „Przegląd Zachodni”, z którym wszyscy współpracowaliśmy. I tam oczywiście rządził Mieczysław Suchocki. Był człowiekiem niesłychanie oddanym, zapatrzonym – tak bym powiedział – w Wojciechowskiego. Wszystkie pomysły realizował z niesłychaną sumiennością, odpowiedzialnością.

(...) Artykuł o Stalinie (...) Z całą pewnością wiem, że napisał go osobiście Suchocki. Z polecenia Zygmunta. To spełniło swoje zadania, jakkolwiek było niedołęzne. Tonący się brzytwy chwytła. Zygmunt Wojciechowski wiedział, co się dzieje i próbował ratować Instytut Zachodni. Ja byłem pełen podziwu dla Zygmunta. Zreszta napisałem... Broniełem Zygmunta Wojciechowskiego, bo Zygmunt Wojciechowski dla nas w tych trudnych czasach to był drogowskaz. Kim tam on był to był, taktyk doskonały. Czasami nie można było pójść jego drogami, ale przecież każdy ma swój własny rozum. Może pójść, może nie pójść.

(...) Ten zespół działał w bardzo trudnych, pogarszających się warunkach do lat 1954/55, gdyż zaczął się, jakby to powiedzieć, od 1949 r. wyraźny nacisk ideologiczny na Instytut Zachodni. Zygmunt Wojciechowski umiejętnie paraliżował te działania, odpierał. Ale siłą rzeczy zaczęli tam się właśnie gromadzić ludzie, którzy byli gotowi do współpracy. Ja wymienię dwie osoby: profesora Zdzisława Kaczmarczyka i profesora Jana Wąsickiego, którzy jako asystenci Zygmunta Wojciechowskiego odgrywali coraz większą rolę. Wąsicki był oczywiście od samego początku partyjny.

(...) Największe zagrożenie dla Instytutu Zachodniego pochodziło z Warszawy, właśnie z Polskiej Akademii Nauk. Wykorzystano moment śmierci profesora Zygmunta Wojciechowskiego. Na pogrzeb przyjechał Henryk Jabłoński, Stanisław Arnold, Bogusław Leśnodorski. Leśnodorski był w dykcji Instytutu Historii odpowiedzialny za Zakład Historii Pomorza. W przedśionku Collegium Minus powiedział do mnie: „Proszę pana zapadła decyzja. Zapadła decyzja likwidacji Instytutu Zachodniego i pański Zakład przejmie cały Instytut”. Mnie włosy dęba stanęły, bo sobie od razu uświadomiłem, co się będzie działo. Przecież już wtedy istniała legenda Instytutu Zachodniego, legenda opozycyjna. Ale

było to związane z osobą Wojciechowskiego (i słusznie). On bronił się właśnie tym programem pozytywnym tworzenia wiedzy o Ziemiach Zachodnich przed zarzutami ze strony ideologów partyjnych. Wobec tego powiedziałem: „*Proszę pana, ja natychmiast biegnę z powrotem na Chełmońskiego... I przedstawię program działalności Instytutu Zachodniego, bo ja absolutnie się tego nie podejmę. I odmawiam realizacji. Niech mi Instytut zawiesi kierownictwo Zakładu. Ale uważam – to jest decyzja błędna.* Nie wiem czy użyłem „błędna” – to byłoby może za ostro.

Poszedłem na Chełmońskiego i w ciągu godziny napisałem na dwóch stronach memoriał, w którym uzasadniałem potrzebę przestawienia Instytutu Zachodniego na historię NRD, historię RFN, badania socjologiczne i prawnicze oraz konieczność stworzenia całego zespołu ludzi, którzy zajęliby się tym. Od razu się włączyli Wąsicki, Kaczmarczyk. Oni wszyscy zaaprobowali mój projekt. W dniu pogrzebu wróciłem przed aulę. Jak się uroczystości skończyły, wyszli właśnie ci trzej notable. Wręczyłem memoriał Jabłońskiemu, który miał do mnie stosunek szczególnie sympatyczny, i powiadam: *Proszę pana, ja mam tutaj właśnie taki memoriał.* On to natychmiast wziął – bo to były dwie strony – przeczytał, i mówi do Arnolda: *Sluchaj, trzeba się nad tym zastanowić. Spróbujmy to przemyśleć.* Zabrał to i zaczęła się debata, a potem sugestia, żebym jako pomysłodawca zrealizował ten program. Odmówiłem, bo nie miałem sił fizycznych. Byłem po ciężkich chorobach i uważałem, że moje miejsce jest w Zakładzie Historii Pomorza. To uważałem za główne zadanie.

Wtedy Jabłoński wymyślił bardzo dobre rozwiązanie. W Krakowie „skompromitował się” Kazimierz Piwarski, sprzeciwiając się też partyjnym naciskom i jego Jabłoński zaproponował na dyrektora Instytutu Zachodniego. Były z tym spore kłopoty. Wybronił jego kandydaturę Władysław Markiewicz, który okazał się człowiekiem niesłuchanie odpowiedzialnym. I jego niesłuchanie cenię. To była ostoja w tym światku partyjnym, która broniła pozycji Instytutu Zachodniego. Piwarski zaproponował mi stanowisko wicedyrektora. Ja się na to zgodziłem i powiedziałem, że trzeba tworzyć kadre. Wtedy zostali przyjęci Jerzy Krasuski, Jerzy Kozeński, Andrzej Kwilecki. Kwilecki jako arystokrata i ziemianin został zesłany do pracy w bibliotece gdzieś na peryferiach. Myśmy go stamtąd wydobyli, no i odegrał przecież ogromną rolę. To był jeden z najcenniejszych nabytków tego okresu. Oczywiście moja rola była dosyć skromna. Od razu całkowicie bez reszty włączyłem się do tych prac, które proponował Piwarski i zespół historyczny.

(...) Wszyscy dopisali. Ten program został dobrze zrealizowany. Późniejszy minister spraw zagranicznych Skubiszewski pozytywnie się do tego wszystkiego odnosił. On był autorem prac o granicy zachodniej. Ja też swoją historię granicy zachodniej napisałem. Wytworzyła się ostoja naukowa. Każdy z nas działał na swoim posterunku, ale to się koncentrowało jednak w Instytucie Zachodnim. Instytut Zachodni był i w dalszym ciągu jest palcówką koordynującą. I wykorzystał szansę na początku lat dziewięćdziesiątych. Miał już wtedy atuty naukowe, które pozwoliły na realizowanie zamierzonych działań.

(...) Przeszliśmy wszyscy egzamin. Mianowicie chciano stworzyć komórkę partyjną. Wszystkich nas zwołali na spotkanie, również profesora Michała Szczanieckiego, bo on współpracował z nami jako prawnik. I zaproponowano nam właśnie przystąpienie do partii. Profesor Adam Łopatka przyszedł z polecenia Komitetu Wojewódzkiego, no żeby nas skaptować. Zdzisław Szczaniecki tłumaczył, że ma nieodpowiednie pochodzenie i nie może. Kaczmarczyk było widać, że jest gotów. Janusz Deresiewicz wstrzymał się od głosu. Zwrócono się do mnie jako wicedyrektora. Powiadam na to: *Proszę pana, przecież ja nie chcę na każdym zebraniu partyjnym stawać i tłumaczyć się, że moja żona jest Wielopolska. Rozumiecie moją sytuację. Ja nie mogę z tej propozycji korzystać, gdyż zupełnie inne mam zapatrywania na tę współpracę. Ja nie dążę do niczego tutaj w Instytucie*

*Zachodnim. Ja nie chcę tego pułapu przekraczać, bo tutaj wszystko dobrze działa. Łopatka mi to zapamiętała. Zostałem później odsunięty z uniwersytetu.*

(...) Zaczął się w Niemczech dialog na temat podręczników historii. Enno Meyer ogłosił tezy podręcznikowe. Wszyscy to odrzucili, natomiast ja napisałem pozytywną opinię o nich, bo uważałem, że przy tym stanowisku dość brutalnym w stosunku do Ziemi Zachodnich, broszurka Enno Meyera, napisana zresztą w Instytucie Eckerta w Brunszwiku, po raz pierwszy formułowała zasady współpracy z nauką polską w zakresie podręczników. Uważałem, że zaczyna się dialog, który jest potrzebny. Nie było możliwości porozumienia z Niemcami wschodnimi. Przypominam sobie taką właśnie wizytę w Berlinie, kiedy Materna zarzucał nam, że my jesteśmy okupantami itd.itp. Odpowiedziałem pokazując na portrety Stalina, Chruszczowa, Breżniewa: „Niech pan apeluje do tych ludzi, bo oni przecież zdecydowali w Poczdamie, że mamy te ziemie”. W każdym razie jedną rzecz ważną zrobiono, czego w Polsce początkowo nie doceniono. Jednak wymuszono, Bolesław Bierut wymusił układ zgorzelecki w 1950 r. Wtedy to wydawało się fikcją, a potem okazało się niesłychanie ważne w 1990 r. Bardzo, bardzo ważny element.

(...) Kiedy dyrektorem został Władysław Markiewicz zaczęły się dobre czasy dla Instytutu Zachodniego. Markiewicz rzeczywiście miał niesłychany dar umiejętnego działania, włączył nas w Komisję Podręcznikową. Zaczęliśmy jeździć za granicę, nawiązaliśmy kontakty. To była wyłącznie impreza Instytutu Eckerta w Brunszwiku. I tam właśnie prowadziliśmy dialog. Markiewicz okazał niesłychaną zrećność, że potrafił przeprowadzić w tych trudnych czasach tę imprezę. Mieliliśmy tam także Eugeniusza Króla, który nie krył tego, że został delegowany do nadzoru nad naszymi pracami.

(...) Z całą pewnością Antoni Czubiński był człowiekiem odpowiedzialnym, mającym bardzo duże oparcie partyjne. Był człowiekiem zaufania godnym. Ale był przede wszystkim uczonym z prawdziwego zdarzenia. To nie ulega wątpliwości. Współpracę z Czubińskim podejmowałem już z innych pozycji, natomiast bardzo pilnie obserwowałem, co się dzieje w Instytucie Zachodnim.

(...) Uważam, że wybitnym dyrektorem była pani Anna Wolff-Powęska. Ona rzeczywiście niesłychanie zrećnie postępowała. To było takie filigranowe stworzenie, Wąsicki bardzo się nią zajmował, opiekował. Ona jemu wiele zawdzięcza w tych rozmaitych kłopotach, które miała. Czubiński ją cenił. No i z chwilą, gdy ona objęła dyrekcję, stworzyła nową siedzibę Instytutu Zachodniego. Wykreowała w nowej sytuacji, która się wytworzyła, podstawy dialogu ze stroną niemiecką.

(...) Środowisko naukowe lubelskie to jest Rosja, to jest Ukraina, naturalnie Białoruś, to jest Litwa. Z istoty rzeczy dla Instytutu Zachodniego pozostaje Europa Zachodnia. To jest główne w tej chwili zadanie. Tutaj Instytut Zachodni ma do wykonania olbrzymie zadanie... „Przegląd Zachodni” w tej chwili jest czołowym pismem, które rozwija problematykę zachodnią.

W tej chwili Niemcy to za mało. Trzeba stworzyć szerszą płaszczyznę działania. Zresztą to się dokonuje w „Przeglądzie Zachodnim”. Są tego rodzaju artykuły. Ludzie korzystają z tego i trzeba to robić. Tzn. tolerować to, że jeżeli ludzie chcą pisać poza problematyką niemiecką – popierać to, bo to jest bogacenie palety malarskiej. Trzeba spojrzeć na to z tej perspektywy, czy to wnosi coś dla idei Europy Środkowej. Bo to Europa Środkowa jest głównym polem manewru. To jest pierwsze pole, to musimy uporządkować.

(...) Jest w tej chwili kryzys w nauce polskiej. My nie mamy pieniędzy na zbyt wiele. Wisimy na grantach europejskich, ale te granty nie mogą się rozwinąć bez podstawy finansowej. Musi być podstawa. Więc my w tej chwili w nauce nic nie znaczymy, bo nic nie mamy. My nie mamy narzędzi pracy.

(...) Niemcy. To jest jedna z najbardziej delikatnych spraw. Bo przecież nie możemy zamknąć ust tym ludziom, którzy korzystają z przywileju, że im wszystko wolno mówić. Tam są przecież neona-

ziści, w Polsce Wszechpolacy się nagle objawili. Więc jest w tej chwili coś takiego jak wolność głoszona poglądów, ale nie trzeba wszystkiego brać na serio. Błąd w dialogu polega na tym, że przywiązuje się niepotrzebnie wagę do tych wypowiedzi. O to im chodzi. Steinbach, CDU/CSU – im tylko chodzi o to, żeby mówić na ten temat. Mądrość powinna polegać na tym, żeby nie dmuchać w to samo ognisko. Niech sobie gadają.

Polska powinna się zastrzec swoimi ustawami. I ma się bronić. Zresztą przyzwoci Niemcy są tego samego zdania. Natomiast tak czy owak, nie da się uniknąć, że korzystając z całej Europy. Niektórzy Niemcy będą chcieli wrócić do Polski. Nie widzę w tym żadnej katastrofy. Przesada. Wszyscy nie przyjdą, nie osiedlą się. To nonsens. Rozdmuchiwanie tego – im tylko o to chodzi. Trzeba mieć pieniądze po to, żeby wrócić, żeby wykupić te domy. Chodzi o to, że Polska zaniedbała księgi wieczyste.

(...) Do szkoły chodziłem w Luzinie. Napisałem taką książkę o Luzinie i dedykację poświęcam tym, którzy nauczyli mnie czytać i pisać, bo ja jestem Kaszuba, ja przecież nie umiałem po polsku. U nas w domu nikt nie mówił po polsku. Po polsku się na Kaszubach mówiło tylko w kościele kazania. Bo księża byli z Włocławka. Ale w domu mówiliśmy po kaszubsku. To było zupełnie oczywiste. Po dziś dzień, jak mi się coś śni, to ja śnię po kaszubsku. Tak, dosłownie, ja przemawiam w nocy po kaszubsku. Tak do tego stopnia to jest zakodowane w pamięci.

Kaszubi mają akcent ruchomy. Moje nazwisko rozśmieszy was. Jest taka piosenka o Labudach: „Labiuda, Labiuda zaś lepij, jak u memci w....”. Moje nazwisko jest Lábuda. Natomiast w polskim języku Labúda akcent jest drugiej sylabie od końca, bo polszczyzna straciła akcent ruchomy, no i wszystko jest monotonne, jednostajne. Ale Niemcy... jak mój ojciec zapisywał mnie w księgach urzędu stanu cywilnego, to on pisał Labuda przez dwa „d”, dlatego, że dwa „d” powoduje, że „u” jest krótkie. A akcent jest na pierwszej sylabie, akcent jest na „a”, a nie na „u”. Dla Kaszubów to ja jestem – Lábuda. To są właśnie takie, jakby to powiedzieć, osobliwości kultury. Ślązacy mają swoją gwara, my mamy swój język. Mamy olbrzymi słownik kaszubski. To jest bogaty bardzo język.

Jak Ceynowa chciał odrodzenia narodowego, tworzył świadomość kaszubską, to jakie miał możliwości? On nie mógł pójść przecież do Kaszubów powiedzieć, że ja was będę uczył po polsku literatury, piśmiennictwa, bo oni kompletnie by go nie rozumieli. On mógł tylko tworzyć piśmiennictwo kaszubskie właśnie dla Kaszubów. I tą drogą najpierw się „upiśmiennić”, nauczyć czytać, a potem pisać. To była rzecz normalna. I doprowadził do tego właśnie w tym nastroju słowianofilskim. Jemu zarzucano separatyzm. Nic podobnego. On właśnie stworzył więź narodową.

Ja tak właśnie napisałem: tak długo Kaszub, jak długo ich mowy. Jak wy stracie swoją mowę, to jest po Kaszubach. Młode pokolenie nie chce mówić po kaszubsku. Nie chce mówić, bo... po co. Tylko intelektualiści jeszcze. ... Ale jest piśmiennictwo itd. Kaszubi są dwujęzyczni, natomiast młodzież? Wolą się nauczyć po francusku, po angielsku. Ja to rozumiem.

Język kaszubski będzie językiem dla nauki, jak wiele języków, które wygasły. To jest normalne i tutaj sprzeciwianie się temu to jest sztuczna zaporą. Młodzi ludzie – drugie, trzecie pokolenie – oni będą poznawali ten język jako obiekt kultury. Przecież Niemcy mają własne gwary, ale posługują się tylko hochdeutsch. Ale od czasu do czasu wracają właśnie do tego Mundartu, ale tylko starsze pokolenie. Młodzi nim się nie posługują już. Ja nie spotkałem się z tym.

Wspomnień nie napiszę już, bo ja jestem – jak mówię – fachmann. Ja mam olbrzymie archiwum korespondencji. Ale nie mogę napisać, powiedzieć niczego, czego nie ma w pismach. Ja mam wszystko, ale nie jestem w stanie tego przeczytać, przestudiować. Mam olbrzymie zwąły archiwum. No i nie napiszę. Napisałem moją drogę życiową naukową, taką namiastkę. Ale tylko o stronie naukowej.

(...) Wszyscy mnie namawiają, żebym dyktował swoje wspomnienia. Tego nie zrobię. Ja cenię tylko słowo pisane. Ja piszę przecież bezpośrednio na maszynie do pisania. Na podstawie dyspozycji, które sobie przygotowuję niczego nie improwizuję w pracy naukowej. To jest wszystko przemyślane. Każde słowo. Widzę je napisane i ręczę, że tak ma to być napisane. Natomiast słowo jest ulotne. Człowiek robi dygresje. Najlepszy przykład pewnie ten mój monolog. Na tym właśnie to polega, ja się tego boję. Nie mogę dyktować. Właśnie ciągle mnie namawia do tego kuzynka mojej żony, ciągle mówi do mnie: „weź dyktuj, weź dyktuj”. Tego nie będę robił. To nie jest mój styl. Ja szanuję tylko słowo pisane, za nie czuję się odpowiedzialny. I piszę bezpośrednio, poprawiam oczywiście, to prawda, redaguję..... Tak robię.

Całe moje życie pracowałem dla Polski jako mojej Wielkiej Ojczyzny i dla Kaszub jako mojej Małej Ojczyzny.

Rozmawiali: *Hanka Dmochowska i Zbigniew Mazur*

Tekst autoryzowany w sierpniu 2010 r.

